№ 28. Warszawa, 15 Lipca 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Być sobą czy nie być wcale.

Idzie więc o to, że t. zw. pracująca Polska została dziś oddzielona od inteligencji. Drogi tych dwuch odłamów w kraju rozeszły się na czas nieokreślony. W miarę wzajemnego oddalania się, niezrozumiałe stają się języki życiowe tych żywiołów społecznych. Gwara tłumu inteligenckiego, wzgardzona przezeń w okresie porywów i słownej walki z „mieszczuchem“ i „filistrem“—dziś staje się mową najmilszą, najbardziej dźwięczną i najbardziej „własną“. Obecnie inteligencja ma „w Bogu nadzieję“ i woli mieć w „torbie ser“, niż ideały. Jest więc wszelka nadzieja, że pokolenie takich umysłów „oświeconych“ wyda na starość możliwie największą liczbę szubrawców w myśl znanego orzeczenia francuskiego, że kto za młodu nie był przynajmniej republikaninem,—na starość będzie szubrawcem. Nie idzie naturalnie o młodość żaka, nieznającego odpowiedzialności za przekonania, lecz o dojrzałą młodzieńczość, która nie uprawia idei pour passer le temps. To więc, co uprawiała inteligencja przed rewolucją, nie było jej istotną potrzebą i nie wypływało z konieczności jej stanów duszy; jej przeżycia nie były temi wartościami, bez ciągłego tworzenia których życie jej przedstawiałoby tragedję istnienia w tym stanie męczeństwa, w jakim znajduje się osobnik, mijający się z powołaniem. Jej nastroje ideowe były to owe blaue Blumen, które o zmierzchu niewyraźnej nabierają barwy, stają się równie szare, jak i inne nowopowstałe „zrobione“ nastroje. I ślicznie zgadza się i harmonizuje bezbarwność ideowa inteligencji z panującym zmierzchem, usposabiającym do melancholji i mistycyzmu. Tylko że ten mistycyzm, właściwy duchom pokutniczym, odbiegającym często od twardej rzeczywistości nie z tej racji, iż jest ona zbyt prozaiczna po grubjańsku i razi swą prymitywnością, lecz dlatego że jest zbyt bolesna i że wzbudza odrazę swemi przeróżnemi legalnemi przestępstwami, popełnianemi w biały dzień z woli „mętów społecznych, stojących u góry“, jak chce Heine. Nie jest to mistycyzm szlachetny Maeterlincka, twórcy, który gdyby dziś się narodził w Polsce, byłby niewątpliwie poetą wyklętym, lecz jest to mistycyzm Lutosławskiego, odpowiadający obecnie nastrojowi naszej większości społecznej wraz z naszą inteligencją włącznie. Niedawno nawoływano tłumaczów do przyswajania naszej literaturze takich talentów cudzoziemskich jak Hofmansthal, Frenssen, Bang, Henning Berger,Shaw, Meyrink. Przetłumaczenie utworów tych pisarzów jest względnie łatwe, lecz właściwe ich przyswojenie będzie naogół martwe i wpływu bardziej dodatniego w tej chwili nie wywrze. Duszy naszej inteligencji bardziej odpowiada dziś taki np. Maurice Barrèse, pisarz rojalistyczny, feodał w literaturze, mający w swojej ideologji równie dużo junkierstwa, jak u nas Sienkiewicz i Weyssenhof. Miłują realizm Barrèsa, bo nienawidzą Licińskiego i innych bezwzględnych, niemiłosiernych naturalistów.

Popularne dziś utwory powieściowe, zawierające więcej tendencji, niż artyzmu, więcej powierzchownych przeżyć patrjotycznych, niż męczących zagadnień współczesnych, (które obejmują również zagadnienie realne utraconej lub zranionej ojczyzny) nie wywołują stanu niepokoju, ani bolesnej zadumy. Istnieje pewna współ-

mierność między tem, co tworzy współczesna literatura polska, i tem, czego pożądają sfery czytelników. Nie jest więc paradoksem, że na rynku pragnień duchowych panują probierze ekonomiczne, według których regulowana jest podaż i zapotrzebowanie. Odbywa się dziś jakgdyby automatyczna degradacja literatury, spełniającej w Polsce od narodzin romantyzmu wyjątkową rolę społeczną, postępuje w sposób niehamowany i samorzutny paczenie i poniewieranie przewodnich założeń twórczości, krzepiącej bądź co bądź w okresach smutku i żałoby ducha zbiorowego tej nielicznej, lecz zwartej grupy, która nie przestaje „być sobą", choć „czas" wymaga by po „męsku" poczęła żyć „dla siebie." Istnieje pewna, powiedzielibyśmy, ironja historyczna w dziejach twórczości polskiej, że owoce najboleśniejszej myśli, bo rodzącej się w chwilach przymusowego pielgrzymstwa porewolucyjnego, padają w czasie tych stanów duszy społecznej, które są wyraźnem zaprzeczeniem stanów poprzednich. I dziś padają zdala, z czuwającej emigracji po to, by nie być zrozumiane i odczute przez stracone pokolenie inteligencji i po to, by zostać uznane dopiero po upływie długiego szeregu lat, kiedy się ocknie nowe pokolenie i sięgnie po twórczość pielgrzymstwa przeważnie zaprzepaszczoną, bo pielęgnowaną tylko przez nikłą liczebnie grupę istotnie „pracującej Polski."

Oprócz dwuch odłamów inteligencji, jednego—wlokącego się z życiem po to jedynie, by istnieć dla „siebie", i drugiego, przebywającego w kraju i na emigracji, silnego instynktem samo—i społecznie zachowawczym, t. j. altruistycznym, pozostającego bądź co bądź „sobą", — zwiększa się osobliwa grupa inteligencji, która by pozostać tem, czem była, stała się „niczem". Mamy na myśli wciąż rosnącą liczbę samobójców, należących do tego samego pokolenia inteligencji. Są to fakty, których nie objaśniają tylko względy osobiste, czysto podmiotowe, lecz pewien splot przyczyn ogólnych, warunkujący dziś całokształt rzeczy, stany duszy i przeżycia rozbitków. Są to fakty, które jednak nie dają się podciągnąć pod jeden jakiś schemat; wzięte oddzielnie wydają się następstwami indywidualnych zawodów życiowych, długotrwałych rozterek i szarpaniny o byt materjalny; wzięte zaś razem, kiedy znikają drobne między niemi różnice, zabarwienia i występuje pewna jednolitość w sferze przyczyn, decydujących o śmierci — wskazują dość wyraźnie, że nad głowami samobójców unosi się filozofja zwątpienia. Ale nie to zwątpienie w oczekiwaną zmianę warunków otaczających, które popycha największy dziś odłam inteligencji do tem żywszego i pośpieszniejszego szukania karjery; zwątpienie inne, tak potężne, że targa instynkt życia i do samego końca toruje drogę świadomości rozpaczy. Dla analityka duszy indywidualnej—gieneza tragizmu ginących pielgrzymów będzie jasna i zrozumiała tylko w związku ze źródłem życia, wypełnionego ciągłym ogniem pragnień i zmagań, które utrzymywały rozbitków na szczytach stanów i przeżyć duchowych. Tam byli „sobą". Później zaś, na emigracji, gdzie dawniejsze drogi, „pełne słońc i tęcz prawdziwych" przywiodły ich znagła do kresu, otwierającego puste bezdroża i długą perspektywę bezcelowego błądzenia, podnosiło się znagła zagadnienie, — zostać tem, czem byli, czy zostać „niczem" na powierzchni w znaczeniu tylko fizycznem. Istnieje dziś skłonność wśród ludzi „trzeźwych", do budowania suchych schematów, pod które podciąga się rozbitków, decydujących się na drugi warunek, i określa się ich mianem słabych melancholików, osobników pozbawionych zdrowego instynktu życia i t. p. Takie rozumowanie ludzi zrównoważonych oddzielone jest nigdy niezapełnioną przepaścią od rozumowania osobników, objętych przez filozofję rozpaczy, będącej wynikiem przejścia ze stanu życia twórczego do życia jałowej pustki i przymusowej bezczynności, dostępnej tylko dla męki reminescencji z zawiedzionej przeszłości. Inteligencja, żyjąca „dla siebie" nigdy nie zrozumie protagonistów, rzuconych na emigrację, nie rozumie, że dlatego stanęli u kresu bo „inaczej nie mogli".

Henryk Lukrec.

Przeciw trustom i syndykatom.

Cechą znamienną dla obecnych czasów reakcji społeczno-politycznej w Rosji jest organizowanie się wielkiego kapitału.

Niedawny ruch wolnościowy, któremu towarzyszyły ogromne, niebywałe przedtem strejki ekonomiczne, wykazały dobitnie przedsiębiorcom, że rozproszenie, w jakiem trwali do owej chwili, dłużej ciągnąć się nie może.

Sam brak wolności zrzeszeń i zebrań, zmowy i strejków nie przeszkodził robotnikom w latach 1904/5 skorzystać ze sprzyjających okoliczności i wystąpić do zawziętej walki przeciw samowoli i wyzyskowi przedsiębiorców. Jeżeli okoliczności te powtórzą się, pracobiorcy staną w obliczu nowej fali strejkowej i znów nie obroni ich przychylna ręka administracji. Uratować może tylko samoobrona, i z tego przekonania powstała inicjatywa tworzenia takich czysto klasowych, w zasadzie swej bojowych związków fabrykantów, jakim jest rada zjazdów w Petersburgu—organizacja wszechrosyjska, lub Towarzystwo Przemysłowców — oganizacja krajowa dla Królestwa Polskiego.

Obok tych związków, opartych na podłożu wyłącznie „ideowem", zaczęły w tymże czasie rozrastać się dawniejsze, mnożyć nowe trusty i syndykaty, organizacje o charakterze bardziej ekonomicznym. Tu motyw walki z robotnikiem, zawsze łatwiejszej dla kapitału bardziej skupionego, był czynnikiem drugorzędnym. Przy tworzeniu trustów i syndykatów głównie chodziło o unormowanie wytwórczości w myśl interesów przedsiębiorców, o narzucanie spożywcy dowolnych cen rynkowych, o zniszczenie współzawodnictwa, które, pozostając kamieniem wspólnym oficjalnej ekonomji politycznej, jest przeżytkiem i zawadą dla największych magnatów przemysłowych.

Ten wzmocniony ruch w kierunku tworzenia trustów i syndykatów, ruch, który nie ominął ani jednej gałęzi przemysłu rosyjskiego, szybko zwrócił na siebie uwagę ogółu. Zaniepokojeni nim zostali spożywcy, dotknięci podniesieniem się cen,—drobni przedsiębior-

cy, którym grozi zagłada, wreszcie sam rząd, który zmuszony jest do przepłacania za dostawy.

Gdy wreszcie w roku zeszłym 45 posłów wniosło do Dumy Państwowej interpelację z powodu pogłosek o zorganizowaniu wszechrosyjskiego trustu zakładów metalurgicznych, ministerjum handlu i przemysłu uznało za konieczne unormować sprawę trustów i syndykatów, obmyśleć sposób ich legalizacji i rejestracji, zabezpieczyć skarb przed pożądliwością monopolistów prywatnych.

Zapowiedziana wówczas urzędowa i międzywydziałowa narada w sprawie syndykatów i trustów doszła jednak do skutku dn. 7 b. m.

Wzięli w niej udział przedstawiciele przeróżnych ministerjów. Zbojkotowali ją natomiast zaproszeni ekonomiści—teoretycy, częściowo zaś i przedstawiciele wielkiego przemysłu, którzy przybyli na narady w liczbie ograniczonej i bez „najgrubszych ryb".

Już to samo, wskazując na lekceważenie przez przemysłowców zamierzeń rządu, na ich pewność, że ten nie potrafi zatamować ruchu syndykalnego, zapowiadało, że narada zakończy się fjaskiem.

Jakoż jedynym jej owocem było przyjęcie przez zgromadzonych ankiety, opracowanej przez ministerjum handlu i przemysłu, celem rozesłania jej do wszystkich organizacji przemysłowych.

Następne posiedzenie komisji ma się odbyć jesienią po zebraniu danych drogą powyższej ankiety.

Można być już i dziś przekonanym, że przyszła narada nie przyniesie również żadnych wyników.

Organizacje przemysłowe postarają się dać odpowiedzi jaknajbardziej dla siebie korzystne, przedstawiając trusty i syndykaty w świetle najzupełniej niewinnem. Sam projektodawca narady — rząd — nie stoi na stanowisku zasadniczem, gdyż będąc rządem *dzisiejszym*, stać na niem nie może. Nie jest jego zamiarem bronić najszerszych warstw ludowych przeciw orgjom rynkowym monopolistów;—nie może walczyć przeciw wielkiemu kapitałowi, bo jest odeń pieniężnie zależny, wszystko zaś, czego pragnie, sprowadza się jedynie do obrony skarbu, jako spożywcy, przed podwyższeniem cen przez zmowy przemysłowców.

Tak pojęta walka przeciw trustom i syndykatom, musi zakończyć się niepowodzeniem tembardziej, że organizowanie się przemysłowców z celem bezwzględnej dyktatury na rynku krajowym leży w dążnościach kapitalistycznego systemu wytwarzania i będzie trwało dopóty, dopóki i on sam.

* *
*

Tymczasem przemysłowcy nie zaniedbują agitacji na rzecz wygranej zresztą dla nich — sprawy. Syreniemi głosy starają sie przekonać ogół, że trusty i syndykaty mogą być pożyteczne nie tylko dla przemysłowców, lecz i dla spożywców, a zwłaszcza dla robotników.

„Gotów jestem—mówił współpracownikowi „Rieczy" p. Stanisław Glezmer, członek Rady Państwa, prezes Petersburskiego Towarzystwa przemysłowców i fabrykantów, powołany do wpomnianej narady międzywydziałowej — gotów jestem dowieść, że trusty przemysłowe są potężną siłą, która będzie mogła rozwiązać na czas dłuższy sprawę t. zw. walki pomiędzy pracą a kapitałem".

Oczywiście nie syndykaty i trusty handlowe, mające charakter spekulacyjny! Temi p. Glezmer się brzydzi... lecz syndykaty i trusty przemysłowe, mające znaczenie „twórcze".

Marzący o pokoju „społecznym "— myśl, która nie pozwala spać wszystkim używającym „nadwartości"—p. Glezmer dowodził *interwiew'erowi*, że zjednoczęnie pracy, kapitału i spożywcy--to bynajmniej nie utopja, lecz zupełnie możliwa i celowa rzeczywistość.

SZALENIEC.

Quoniam pater meus et
mater mea dereliquerunt me.

Korytarz długi—długi...

Ze ścian wyzierają potężne twarze, otulone wiecznym zmrokiem.

Gdzie tynk od murów poodpadał, otwierają się oczy postaci — malowanych dawno... dawno...

Jest to korytarz niegdyś klasztorny.

Dziś—budynek, zajęty na mieszkania. Szedłem po szerokich schodach, prowadzony przez biednego wyrobnika do żony chorej, będącej w ostatniem stadjum gruźlicy.

W małej izdebce, do ciasnej okrętowej kajuty podobnej, leżała wychudła kobieta, a wokoło pięcioro drobnej dziatwy.

A gdy skończyłem badanie i zabierałem się do wyjścia, wyrobnik nieśmiało wciskał mi drobne pieniądze...

Naturalnie, że nie przyjąłem.

Na korytarzu zbliżył się do mnie średnich lat mężczyzna, prosząc o wstąpienie do swego mieszkania.

Ponieważ wolnego czasu miałem dużo, więc zgodziłem się i poszedłem za nowym znajomym.

Gdzieś daleko, na końcu korytarza, usłyszałem przyciszone głosy.

Ktoś krzyknął:

— Szaleniec!

Mój nowy znajomy widocznie usłyszał, bo zwróciwszy się szybko w stronę, skąd głos dochodził, potrząsnął smutno głową, i wskazawszy mi czarną farbą pomalowane drzwi, wprowadził do swojej poklasztornej celi...

— Niech pan będzie łaskaw...

Usiadłem w starym, głębokim fotelu.

— Czy pan choruje?

— Tak i nie!...—odrzekł twardo.

— Nie rozumiem—

— Gdy mówię sobie „nie", wydaje mi się, że... kłamię. Gdy mówię „tak", mam wrażenie, że oszukuję samego siebie! Rozumie pan?... Sa-me-go siebie!

Spojrzałem uważnie na mówiącego.

Oczy, łagodne oczy zwrócił w stronę okienka, przez które widać było drzewa ogrodowe, obsypane owocem.

Długie, jasne włosy ciężko opadały na jego ramiona...

Przyszły strustowany raj—wbrew wszelkim doświadczeniom—wyglądać będzie, według p. Glezmera, tak, że zjednoczenie przemysłu... „polepszy wytwórczość, a zarazem uczyni ją tańszą“.

„Zjednoczenie spożywców usunie poczęści konieczność pośrednictwa, zbliży spożywcę do wytwórcy, ułatwi i uprości zbyt“.

„Wreszcie zjednoczenie robotników w związkach zawodowych zapobiegnie temu, że fabrykant nie będzie zmuszony najmować „pierwszych lepszych“ robotników, nie związanych ani z wytwórczością, ani z wytwórcą, ani wreszcie z miejscem wytwarzania. Związki zawodowe dadzą nam zawodowo wykształconego robotnika. Wprawdzie taki robotnik zażąda wyższej płacy, ale to — według p. Glezmera—nie będzie ze szkodą dla wytwórczości“.

Wszystko więc skończy się jaknajlepiej, jeśli tylko rząd nie będzie przeszkadzał organizowaniu trustów i syndykatów. Szkoda tylko, że najnowszy i niespodziewany obrońca związków zawodowych nie chce wiedzieć o tem, że czynniki miarodajne, które nie mają dość siły, by przeciwdziałać organizacjom przemysłowców, poradziły sobie doskonale z organizacjami zawodowemi robotniczemi i nie noszą się wcale z zamiarem pozwolenia na ich odbudowanie. Zresztą p. Glezmer w swej miłości platonicznej ku związkom zawodowym pozostaje zupełnie odosobniony. Powinien jednak wiedzieć, jak gorliwie współtowarzysze jego walczyli i dotąd walczą przeciw robotnikom zorganizowanym.

Powinien także przewidywać, że niemożliwe jest, aby strustowana Rosja stała się wyśnioną Ikarją, nie zaś tem, czem są dziś inne kraje, gdzie zorganizowanie się przemysłu doszło do bardzo już wysokiego stopnia. Wszak tylko dzięki zjednoczeniu się przedsiębiorców stały się możliwe tak homeryczne wstrząsające całem życiem kraju walki, jak zeszłoroczny lokaut szwedzki, lub tegoroczny budowlany — w Niemczech.

A jeśli w państwach, gdzie ruch zawodowy robotniczy zbliża się już prawie do kresu swej potęgi, zorganizowanie się przemysłu prowadzi tylko do zaostrzenia się walki klasowej, zapasów między kapitałem a pracą, to wszędzie, gdzie jak w Rosji, związki zawodowe mogą istnieć jedynie na papierze, każdy krok ku zjednoczeniu się fabrykantów w jedną spójną organizację jest dalszem i wciąż większem oddawaniem robotnika na łaskę i niełaskę przedsiębiorcy.

W. W-ski.

Dzieje grzechu Marjanny.

Temida w złotych okowach.

Niewieścia postać, zwana popularnie Marjanną, a symbolizująca rzeczpospolitą francuską, była zdawna bożyszczem demokratów całej Europy. Nietylko we Francji, lecz i we wszystkich krajach cywilizowanych spoglądano z zachwytem na jej frygijską czapkę i powtarzano słowa Bérangera, wyrzeczone na grobach bojowników 30-go roku: „przyświecaj ludom, gwiazdo poranna!”

I Francja przyświecała istotnie ludom; z niej brały ujście wszelkie ruchy wolnościowe, które wstrząsały następnie Europą: trony drżały w 1793 roku, gdy gołowąsi generałowie pierwszej rzeczypospolitej gromili niewolnicze hordy wojsk europejskich, trony drżały w 1830-ym roku, gdy Francja strącała Bourbonów, trony drżały w 1848 roku, gdy z kolei wypędzono Orleanów. Słowem, sprawa wolności europejskiej zespoliła się jaknajściślej ze sprawą Francji.

Nawet w chwilach, gdy z głowy Marjanny spadała czapka frygijska, gdy jaśniała na niej korona monarsza, gdy pierś jej stroiła lilja burbońska lub gdy na hełmie jej osiadały orły cesarskie — Francja pozo-

---

Wzrok biegł w nieskończoność...

— Pan dawno tu mieszka?...

Drgnął.

Ponowiłem pytanie.

— Już dziesiąty rok, to jest od czasu, gdym zaczął żyć i gdym zaczął umierać. Świat jest tak piękny i zarazem tak okropny, że żyć—to znaczy...

Ot!..

To są moi przyjaciele—te książki—te zeszyty—te drzewa—

Chciałbym te drzewa mieć— jeść owoc z nich—jesienny owoc—

Mogę je mieć—mogę, ale za pieniądze. Nie chcę kupować żadnych owoców!... Owoce mogę brać—owoce świeże z drzewa — owoce z ogrodowych drzew. Owoce brać z rąk białych, czystych. Otrułem się już raz kupionym owocem. Owocem zerwanym z ogrodowych drzew życia!...

Trujące są z cudzych drzew kupowane owoce.

Mam trochę pieniędzy po ojcu — chciałem kupić kawałek ziemi—trochę lasu...

Zbudowałbym szkółkę na skraju zagajników i nazbierałbym dzieciątek z okolicznych wiosek i uczyłbym je i w las je wpędzał i w sad, — który zasadziłbym niemi...

A potem —

Jesienią sze dłbym w las—w gęstwinę *mego* lasu, w rozmowę leśnych drzewin, w szum igieł świerkowych drzew, w wesoły szczebiot dzieci. A potem w sad! w cienisty sad!...

Kolory się na drzewach rumienią. Kolory owocowe.

Hej! hej! Dzieciny!...

Owoce rwać! Owoce jeść! Owoce pić!

Prędzej! prędzej!...

Zapalał się gwałtownie, głos mu drżał—w oczach ogniki błyszczały.

Błysnęły raz, drugi, trzeci — błysnęły długo i—zgasły.

Po chwili spojrzał na mnie i rzekł:

— Chciałem mieć sad i las, a w lesie szkółkę i dzieciny—

A jednak?

Mieszkam tu dziesięć krótko-długich lat. Szaleńcem zwą mię—nawet dzieci—Sza-leńcem

Jestem bezdomny—

Do matki starej pójdę— nie pojmie mnie.

Do lasu?...

Może tam — — —

Ale szum ten—szum kupiony—nieserdeczny szum.

Życie jest okropnym domem rozpusty!

Miłość—owoc—drzewa—kwiaty — oddają się płaconej prostytucji!...

A kupić, to nie znaczy mieć—

stawała dla Europy ostoją wolności. Pochód wielkiego Korsykanina był dla Europy pochodem demokratyzmu: obficie padało ziarno wolności, rozsypywały się w gruzy instytucje feodalne, ustępując miejsca urządzeniom liberalnym. Słońce Austerlicu, które dla Francji oznaczało zmierzch rzeczypospolitej, dla Europy było jutrznią swobód; zaćmienie słońca tego pod Waterloo było podwaliną świętego przymierza, utrwaleniem na długie lata barbarzyńskiego despotyzmu. Tę samą rolę odegrał też drugi uzurpator, Napoleon Mały. I jego zwycięstwo nad Austrjakami pośrednio obdarzyło Austrję konstytucją, a Włochy — bezpośrednio — wolnością; jego zwycięstwo w wojnie krymskiej było punktem wyjścia dla reform liberalnych Aleksandra II-go. Wreszcie jego klęska w wojnie z Prusami była dla Europy klęską nie mniej poważną, niż dla Francji: wynikiem jej był bowiem rozrost potęgi militarnej Prus, przewaga w Europie wpływów pruskiego kaprala, a w samych Niemczech absolutna władza pikielhauby i junkierstwa.

I dziś Francja nie przestała być dla innych krajów europejskich wzorem, ku któremu z utęsknieniem zwracają się oczy demokratów, i dziś każdy szczegół jej bytu budzi w nas niebywałe zainteresowanie, chociażby sprawy jej napozór nie miały dla nas znaczenia bezpośredniego.

Ostatnio uwagę świata cywilizowanego przykuwają fakty, które zdają się dowodzić, że w trzeciej rzeczypospolitej coś psuć się zaczyna. Marjanna, niegdyś dziewica nieposzlakowanej uczciwości, dziś staje się niewiastą wielce podejrzanego prowadzenia się, a—jak twierdzą złośliwcy—wprost ladacznicą. Sprawa Dueza, skandaliczne procesy prasowe, a obecnie sprawa Rochette'a wykazują niezbicie, że nie wszystko dzieje się najlepiej w ojczyźnie Robespierre'a i Marata. Zdziwi to zapewne niepomiernie tryumwirat naszych domorosłych Candide'ów (p. p. G-l K, Gorecki i Pyrowicz), którzy przez szereg lat pouczali nas, że „tout est pour le mieux dans le meilleur des pays", że Clémenceau i Briand są opoką cnót obywatelskich, skarbnicą mądrości państwowej a nadewszystko wzorem stałości przekonań i wierności zasadom wolnościowym. W ich oczach skandale, które zakłóciły ostatnio bieg życia francuskiego, będą może pozbawionemi wagi incydentami lub nawet owocem knowań anarchistycznych, które p. Gorecki wietrzy zazwyczaj z przenikliwością, godną samego Clémenceau'a.

Niestety, bezpośrednia obserwacja rzeczywistego stanu rzeczy nie pozwala nam na podobny optymizm. To, co widzieliśmy i widzimy, zmusza nas do stwierdzenia, że te obecne skandale nie są oderwanemi wypadkami, lecz tkwią korzeniami swemi głęboko we współczesnym ustroju Francji lub — wyrażając się ściślej — w anomaljach, towarzyszących obecnemu ustrojowi Francji.

Te właśnie anomalje wykazać pragniemy; chcemy odsłonić zakulisowe sprawki żarłocznych rekinów, płynących za nawą państwowego ustroju francuskiego, a chwilami porywających nawet za jej ster. Pragniemy opowiedzieć tu dzieje grzechu Marjanny, która dziś zapomina coraz bardziej o strojące jej czoło czapce frygijskiej, a zbyt wiele myśli o trzosie, i z bohaterki 1793-go roku przedzierzga się w łapczywą lichwiarkę.

Przedewszystkiem słów parę o sprawie Rochette'a. Historja to wielce wymowna i pouczająca; charakteryzuje ona bowiem działalność jednej z podstawowych instytucji, a mianowicie: sądownictwa francuskiego.

Na początku 1908 r. niespodzianie aresztowano bankiera Rochette'a, finansistę, stojącego na czele licznych, świetnie prosperujących przedsiębiorstw kopalnianych. Aresztowanie to wywołało niezwykłą sensację wśród ogółu ze względu na stan interesów Rochette'a, które uważano ogólnie za nader pewne, za tw. *placement du père de famille*. Ogólnie wiadomo też było, że aresztowanie to nastąpiło na skutek bezpośredniej interwencji ówczesnego prezesa ministrów, Jerzego Clémenceau. Ta surowość premiera francuskiego nieco dziwiła publiczność, przyzwyczajoną do tego, że nadużycia finansistów traktowano nader pobłażliwie, twierdząc, że *c'est du commerce*, lub — jeśli kto woli—*du comme Hertz*. Kto więc, jak kto, ale Clé-

---

Nie mam nikogo—nikogo!...
Te ściany tylko mnie słuchają.
Z pod stosu papierów i ksiąg starych wyciągnął duży zapisany arkusz.
— Chcę życiu dać swą myśl—
Panu chcę dać mą myśl, życiu dać życiowej burzy i życiowych zmagań i bezlitośnie wielkich życiowych walk—
Zdepcz pan mą myśl. Zniszcz ją, ale wysłuchaj!..
Lecz nie!...
Pan byłeś tam w tej norze, gdzie nędza i gdzie ból . . .
Pan tam byłeś—doktorze!...
Ja pana widziałem—
Ja widziałem pana czyn!...
Rzucam panu moją najdroższą myśl. — Nie zdepcesz jej. Nie! Nie!...
Zrozumiałem, że mam przed sobą człowieka, szukającego impulsu—a choćby świadomości tej, że jest ktoś, co go zrozumie i dowie się o jego bolączkach. .

„Rozdarłaś się, zasłono purpurowa słonecznych marzeń moich—
Rozdarłaś się w wichrową noc — w posępną noc, brzemienną hukiem i ulewą łez...
Jak cicho płynie fala życia, jak równo i spokojnie ślizga się promień myśli po zwierciadlanej powierzchni rojeń...
Jak cicho — — —
A kiedy z jękiem rozdziera się tęczowych marzeń zasłona purpurowa...
— — — — — — — — — — — — —
Przez puste orne gleby lecą jaskółcze myśli...
Jak potoki—szumią.. szumią...
Skrzydłami poruszają wilgotne grudki poszarpanych pól...
Gdzieżeś, tęczowa barwo—migocąca w górze najpiękniejszą kaskadą świateł?...
Gdzieżeś hymnie rozkoszy z szumem i szmerem twych odwiecznych tonów, rozkołysanych na powiewach wiatru i miłującej myśli...
Gzieżeś jest?..
Purpurowa rozdarta zasłona...
Gdzie—gdzie jesteś teraz, ciszo i spokoju?...
O! wieczorna ciszo cmentarnianych drzewin — o ciszo przenajświętsza— lekkim obłokiem ukołysana...
Ciszo i mgło wieczornych marzeń!..
Gdziem był— gdziem słyszał ten hymn twój przecudny—myśl kołyszący potęgą harfianych rojeń.
— — — — — — — — — — — — —
Zawrotny wir—potężny chaos myśli i rojeń — kołysał mnie—usypiał mnie...

menceau — przyjaciel i wspólnik Korneliusza Hertza [1]), nie powinien był zbytnio obruszać się na naśladowców swego przyjaciela. Lecz naogół publiczność przyjęła surowość rządu ze szczerem zadowoleniem, gdyż wybryki *conquistadorów* giełdowych dały się społeczeństwu francuskiemu mocno we znaki; energję Clémenceau uważano więc za jeszcze jeden dowód tej prawdy, że były kłusownik jest zazwyczaj najlepszym stróżem lasów.

Lecz po pewnym czasie opinja publiczna poczęła się niepokoić. Okazało się, że skarżyciele Rochette'a, niejacy Laur i Pichereau są zawodowemi szantażystami, niedawno sądzonemi za nader ciemne sprawki. Przytem żaden z wierzycieli, — a więc ludzi najlepiej obeznanych ze stanem przedsiębiorstw Rochette'a nie żądał ogłoszenia upadłości; przeciwnie, wszyscy głośno domagali się uwolnienia finansisty, upewniali, że interesy jego są we wzorowym porządku. Niedość na tem! gdy władze sądowe *ex officio* ogłosiły upadłość jednego z przedsiębiorstw Rochette'a (t. zw. manchons Hella) przy likwidacji okazało się, że „upadły" wypłaca okrągłe sto za sto.

Wobec tych i tym podobnych faktów w opinji publicznej nastąpił zwrot na korzyść Rochette'a, i wreszcie władze śledcze pod naporem opinji zmuszone były wypuścić finansistę na wolność.

Już wówczas mówiono bardzo wiele o zakulisowej stronie sprawy, lecz pogłoski te nie znajdywały wiary. Jerzemu Clémenceau było tak do twarzy w masce Katona, tak zręcznie odgrywał on rolę nieskazitelnego stróża praw, że udało mu się zasuggestjonować społeczeństwo francuskie.

Dopiero rozprawy sądowe, wszczęte na początku r. b., dowiodły niezbicie, że krążące pogłoski nie były zwykłemi plotkami, lecz smutną prawdą. Wyszło na jaw, że minister sprawiedliwości, Briand, dwukrotnie nakazywał władzom śledczym zbadanie sprawy Rochette'a i za każdym razem władze te, po sumiennem zbadaniu rachunkowości Rochette'a wydawały przychylną dlań opinję. Lecz nic to nie pomogło! Los Rochette'a był zgóry przesądzony, gdyż naraził się on prezesowi ministrów, prowadząc przedsiębiorstwa, w których zainteresowani byli przeciwnicy premiera. Godząc w Rochette'a, Clémenceau usiłował w gruncie rzeczy obalić nienawistnych mu działaczy. A że dla tego jezuity świeckiego wszystkie drogi są dobre, gdy prowadzą do celu, więc też zabrano się do dzieła w sposób niebywale otwarty i bezczelny. Na rozkaz Clémenceau prefekt policji paryskiej, Lepine, wynalazł dwuch oskarżycieli (wspomnianych już Laura i Pichereau), których z pominięciem zwykłych dróg przedstawił prokuratorowi Monier. Sądownik ten, człowiek wielce domyślny, odgadł łatwo, że wszczęcie sprawy będzie na rękę sferom nader wysokim, więc bez wahania wydał odpowiednie rozkazy. Niemniej domyślny sędzia śledczy Berr poprowadził sprawę we właściwy sposób: sfabrykował jakieś, tajne *dossier*, którego nie przedstawiono ani oskarżonemu, ani obrońcy, dał wiarę słowom notoryczych oszustów, wreszcie za pomocą komunikowanych prasie not, systematycznie dyskredytował przedsiębiorstwa finansowe, prowadzone przez Rochette'a. Matactwa te zrobiły swoje: akcje Rochette'a spadły na giełdzie o trzecią część wartości, posiadacze ich potracili majątki lecz za to świetne interesa porobili inni przez tajemne potęgi powiadomieni o tem, co się stanie. I, jak okazało się, tu właśnie tkwił rdzeń całej sprawy: aresztowanie Rochette'a było dla Lepine'a (który obok funkcji prefekta policji pełni też obowiązki administratora towarzystwa kanału Suezkiego) i działającej solidarnie z nim kliki świetnym gieszeftem giełdowym. Nie sprawiedliwość, lecz kulisa giełdowa kierowała tu krokami władz sądowych.

Dziś skandal stał się pewnym i ukryć się nie da. Nie wszystkie szczegóły wyszły na jaw, lecz znana dotychczas część prawdy wystarcza, by dać pojęcie o działalności sądów i rządu, by obnażyć gangrenę, toczącą tak podstawową instytucję republikańską.

Dziś nie ulega już wątpliwości, że Temida, którą przedstawiają zazwyczaj z zawiązanemi oczyma, posiada w gruncie rzeczy świetny i nader przenikliwy wzrok! Z wysokości foteli sądowych wzrok jej biegnie aż pod kolumny i sklepienia gmachu giełdo-

[1]) Korneljusz Hertz był wraz z Clémenceau jednym z głównych uczestników sprawy panamskiej, o której będzie jeszcze mowa w szkicu niniejszym.

Jestem jak kwiat z podciętą łodygą — chwiejący się i smutny...
Jestem jak kwiat—czujący bezmiar niemocy swojej.
Jak kwiat — patrzący na własne swoje konanie...
Jak kwiat, co płacze nad własną swoją śmiercią...
Od pól przylata mocny zapach ziół.

Lekka chmurka kołysze się na szatach mgieł wieczoru...
— — — — — — — — — — — — — — —

Ach! Gdybym wiedział, co jest tam... w głębinie mórz...
W otchłań topieli wodnej skryłbym swoją myśl...

Gdybym znał taką przepaść niezgłębioną — gdzie mógłym wszystko... wszystko rzucić!..
Taką toń...
Przepastną toń — topiel bezdenną. Tam — rzuciłbym swą mysl.
Swą własną myśl...
— — — — — — — — — — — — — — —

Widziałem wielkie, białe głazy — — —
Mchy—stare, odwieczne mchy ssały ich krew...
Zdawać się może, że głazów ciała żyją i czują — — —
O! Nie!...

To czuje mech—prastary mech — — —

Jestem jak głaz — porosły mchem, odwiecznym—starym mchem...

A na tym mchu już nowe pokolenie rośnie— — — rośnie — — —
Niedługo zginie stary mech!..
Chciałem już gryźć ten szkielet życia—pić trupią woń ginących mchów — — —
Mchów starych, wessanych w ciało głazu...
Mchów przenajstarszych— wżartych w twardy kościotrup mego bytu...
Mnie trza do lasu iść i z szmerem drzewin gadać — — —
Mnie trza rękoma spleść kamienne kościotrupy.
Gnijący mech do ust mych tulić—tulić.
Jestem jak głaz—czujący wkoło stary mech— — —
A jednak?..
Mech urodził się w uścisku ziemi i kamienia...
Urodził się z miłości ku potężnym głazom.
Z miłości się urodził i wżarł się — wżarł w najświętszą moc szkieletu—głazu...
— — — — — — — — — — — — — — —

Pieścić zacząłem tę wielką moją niemoc!..
Przed obłąkanym bólem leci mgła wichrem nocy szarpana—...
Blade oblicza widm patrzą mi w twarz, szczerząc swe białe—białe—śnieżno-marmurowe zęby...
Jęki płyną... skowyczy wiatr!..
Trupy zaczęły wirować wokół łoża..
Boleść pędzi... pędzi...

wego, przenika w tajemnicze kąciki, w których podejrzani rycerze przygotowują zamachy na całość kieszeni francuskich. A dostrzegłszy knowania te, szanowna Temida nie interwenjuje, nie pociąga winnych do odpowiedzialności, jak nakazywałby obowiązek, lecz wchodzi w układ z mataczami, dzieli zawczasu spodziewany łup, poczem dokonywa świetnych spekulacji za pomocą rozkazów aresztowania niewinnych ludzi.

Nie po raz pierwszy zresztą! Sprawa Dueza, który dzięki protekcji lub nieinterwencji sądów zdefraudował kilka miljonów z pieniędzy kongregacyjnych, szereg innych równie ciemnych i kompromitujących sprawek dowodzi, że Temida skuta jest złotemi okowami przez rycerzy przemysłu, którzy paraliżują jej działalność lub, co jeszcze gorsza, kierują jej miecz na karki niewinnych, lecz niedogodnych ludzi.

Wobec skandalów tych ocknęła się opinja publiczna: liga praw człowieka i obywatela wystąpiła w obronie kozła ofiarnego mataczy — Rochette'a, w parlamencie wniesiono szereg interpelacji, żądano śledztwa *parlamentarnego*,—jeszcze jeden dowód zaufania do władz sądowych — słowem, postanowiono wypalić raka, toczącego Temidę.

Czy nowa Izba Deputowanych przystąpi na serjo do uwolnienia Temidy ze skuwających ją złotych łańcuchów, czy weźmie w swe obroty bandy rekinów, dziś nietylko płynących za okrętem francuskim, lecz nawet, kierujących sterem — o tem przekonamy się wkrótce.

A dużo, bardzo dużo znajdzie sie do wymiatania z Augjaszowej stajni trzeciej rzeczypospolitej. Zadanie to wdzięczne dla ludzi dobrej woli. Lecz czy znajdą się tacy w parlamencie?

Jerzy Huzarski.

Rozdźwięki.

O czytelnictwo na prowincji.

Fizjonomja duchowa naszej „inteligencji" prowincjonalnej jest znana już oddawna. Zaściankowość w myśleniu i niezdolność przyjmowania rzeczy nowych i wartościowych przedtem, niż zdobyły sobie one prawo obywatelstwa w środowiskach umysłowych po długich zmaganiach z opinją panującą — cechują niezmiennie intelekt prowincji „oświeconej." Czego dawniej „Tygodnik Ilustrowany" nie uznał za zgodne z „duchem narodowym", — to pozostawało nietknięte, o tem wieść nie dochodziła na głuche odludzie prowincjonalne. Jeżeli co potępił „Kurjer Warszawski" lub jeżeli od czego ze zgrozą odwróciła się dawniejsza „Gazeta Polska"—było pewnem, że wyrocznia umysłowa, panująca w wielkim dworze, w aptece małomiasteczkowej i redakcji pisemka kumoszek — przyjmie potępienia na wiarę i z góry bez znajomości rzeczy odda na zęby i języki szlachecko-mieszczańskich ignorantów. I nie szło tutaj o doktryny lub teorje naukowe, podważające znaczenie religji, wartość neokatolicyzmu i panowanie kościoła, lecz o prądy literacko-artystyczne, które dla „Gasnących słońc" duchowych, dla Rabskich i Choińskich były źródłem szkodliwych przeżyć i nastrojów i zabójczym narkotykiem dla zdrowego próżniactwa umysłowego. Postaci Przybyszewskiego, Berenta, Kisielewskiego—to symbole rozpusty, które pod spokojny dach dworu wiejskiego wprowadzić mogą niepokój i swą niepowszednością oddziałać niekorzystnie na bardziej wrażliwe „dorastające pokolenie."

Na bezdrożach umysłowych prowincji pojawienie się nowych utworów Kasprowicza, Wyspiańskiego, Przybyszewskiego i odnalezionego Norwida — poczytywane być musiało za niebezpieczny zamach wyzutego ze świętości „modernizmu" na idealną zaściankowość Maryni i na wyzywający egoizm Połanieckiego. I choć w ostatnim lat dziesiątku wiele się zmieniło w sferze upodobań literackich i artystycznych prowincji, to jednak w kołach „inteligencji" nadającej

---

Myśli lecą w praczasy...
W rozkołysanych wichrem — trupich szatach się chowają — — —
Szeleści zimna szata.
Zielony trupi korowód tłoczy się — tłoczy na mnie!.
Złote myśli poplątała bladych trupów szata...
Jak pajęczyną—owinięty jest duch mój wolny!..
Bo wypieściłem swoją niemoc!
Gdzie wolny duch?
Gdzie wolna myśl?..
Wysunął się olbrzymi wąż zwątpienia i cielskiem swem opasał głaz, otulił myśl, uścisnął ból!.
A wzrokiem swym uśmiercił mchy, i nowe, młode mchów zarodki...
Dzieciny słabe! — — —
— — — — — — — — — — — — — —
Z pól leci wiatr.
Wypieścił, wycałował wschodzące listki oziminy!—
Poszarpał orne gleby — szare przestworza ornych gleb...
A wkoło noc!..
I w nocy tej już słyszę cichy jęk wód i skargi drzew...
I słyszę ból—
I tryumfalny hymn niemocy—
I słyszę szczęk i długi zgrzyt...
Z oddali płynie zapach ziół i wody blask zamyka oczy moje! — — —"

„Szaleniec" patrzył przed siebie i raczej mówił cicho niż czytał...

Rękopis drżał mu w rękach, wysunął się i upadł z szmerem na podłogę.

Nie podniósł go—wpatrzony przed siebie.

Wzrok biegł gdzieś tak daleko, że nie mógł widzieć rzeczy bliskich...

Mówił cicho...

Tak, jak to strumień mówi drzewom leśnym w lipcową noc...

Tak mówił...

A zmierzch zapadał i kładł się na twarzy jego i pieścił ją—i zsuwał się do rąk, muskał papierów stosy w nieładzie rozrzucone, opadał niżej — niżej— chylił się do kolan, do stóp — i wkrótce otulił go swym ażurowym płaszczem—zasłoną lekką—zmierzchnią zasłoną wieczoru...

Wśród ciszy tej i zmroku błyszczały duże — łagodne jego oczy i tylko snuł się szmer — — — cichutki szmer improwizacji Szaleńca...

Jan K. Wróblewski.

„ton" we dworach okolicznych i wśród czytelników, szukających w aptece mikstury dla ciała i recepty estetycznej dla ducha, —powieści p. p. Jeske-Choińskich przedstawiają dziś jeszcze najsilniejszą atrakcję. Inaczej rzecz ma się obecnie w miastach prowincjonalnych w tych kołach inteligencji, które łącznie z ośrodkami umysłowemi przeżywały twórczość pisarzy, wyrażających stany duszy dojrzałego już dziś pokolenia. Koła takie dalekie są od ideałów społecznych polskiego feodalizmu — i bardziej wrażliwe są na piękno artystyczne Żeromskiego i Sieroszewskiego, ujmujących w żywą formę bolesne zagadnienia doby ostatniej.

Współczesna „Młoda Polska" podniosła stopień wymagań estetycznych i, w przeciwstawieniu do pisarzy ze szkoły sienkiewiczowskiej, wysubtelniła smak artystyczny. Żądania czytelnika nowoczesnego przekraczają sferę wrażeń, odbieranych tylko z barwnych obrazów, i dosięgają sfery przeżyć i stanów duszy, które pozostają obce notorycznym filistrom. Stany te łączą dziś pisarza „maudit" z kołami czytelników, podobnie wyklętemi jak sam twórca.

*

* *

Obecnie, pisząc o czytelnictwie na prowincji, należy ściśle odgraniczać środowisko ideowe, rozwijające się na tle szerokich widnokręgów umysłowych od środowiska mieszczańsko-szlacheckiego, gnuśniejącego na poziomie intelektualnym „aptekarzy prowincjonalnych". Uwagi te nawiązujemy do artykułów o czytelnictwie w *Głosie Płockim* i *Gazecie Kaliskiej*. Poglądy w tej sprawie dwuch wymienionych organów są sprzeczne aż do zupełnego wyłączenia. Autor artykułu w Głosie twierdzi, że „przeciętny inteligent literalnie nic nie czyta: w ogłupiającej, apatycznej atmosferze środowiska wyzbywa się stopniowo całego ładunku, dość lekkiego zresztą, literatury i wiedzy, które nabył za dawnych lat; nawet z potrzebą ciągłego kształcenia się zawodowego liczy się niewiele". Autor zaś artykułu w Gazecie Kaliskiej twierdzi, że „czytelnictwo na prowincji wzrasta z rokiem każdym, rozwija się z pożytkiem dla społeczeństwa i ogarnia masy: klasę robotniczą i lud wiejski. Dość zresztą cofnąć się wstecz o lat 10, by zauważyć ogromną różnicę w postępie czytelnictwa na prowincji, do czasu, gdy małomiasteczkowa poczta przywoziła dziennie zaledwie kilkanaście gazet, prenumerowanych przez wybitne czoło inteligencji: pana hrabiego, rejenta, doktora, no i aptekarza, gazet, które nieraz po dni kilka wydniały na półkach pocztowych w oczekiwaniu na odbiorców; dziś zaś poczta zawalona jest pakami pism krajowych i zagranicznych, rozchwytywanych skwapliwie przez umysły „wyższe i niższe", przez ludzi traktujących piśmiennictwo nasze i potrzebę wiedzy nieomal z pietyzmem i upodobaniem". Pisma dwuch dzielnic kraju wyrażają odmienne poglądy na stan czytelnictwa prowincjonalnego. Coprawda *Głos Płocki* obserwuje wyłącznie sferę inteligencji, zaś *Gazeta Kaliska* sferę robotniczą i włościańską, i po części tylko środowisko umysłów „wyższych". Nie ulega jednak wątpliwości, że czytelnictwo naogół wzrosło, idzie tylko o ustanowienie choćby w przybliżeniu skali tego wzrostu, biorąc naturalnie pod uwagę dawniejszy stosunek czytelnictwa prowincjonalnego do stołecznego. Idzie także o jakość prasy i literatury zarówno beletrystycznej, jak i naukowej. Pożądanem jest, by pozostałe pisma prowincjonalne również głos w tej sprawie zabrały, uwzględniając przytem odłamy wielce zróżniczkowanej czytającej publiczności.

Jak się bawią ludzie gorzej ubrani.

Zabawa ludzi „gorzej" ubranych odbywa się w starym parku zamiejskim. Duszą jej jest „miła dziewczyna"—ubrana ze wzruszającą tendencją do strojności—która na cały tydzień znika z widnokręgu i spotkać ją można tylko przypadkiem, gdy nieco zmęczona wraca po pracy do domu Przez sześć dni pochłania ją pracownia ubiorów damskich lub bielizny, koronek lub haftów, zakład, gdzie ubierają kapelusze, retuszerja fotograficzna, lada sklepowa. W niedzielę z bijącem sercem, z modlitwą do Najświętszej Panny na ustach, aby deszcz nie padał, z nadzieją, że zabawi się wybornie, z cerą jasną, której słońce nie zdążyło pozłocić, z torbą byle jakich kontetti, wziąwszy się pod ręce z wybraną z pośród wielu przyjaciółką, wkracza do starego parku i z rozkoszą chwyta uchem pierwsze dźwięki orkiestry. Kilka tysięcy takich emancypantek przybiegło i ująwszy w pokłóte nieco przez igły palce ster igraszek, zaczynają bawić się bez opiekuńczego oka rodzicielskiego, lecz ochoczo... Rzecz prosta, że za niemi przyciągnął odpowiedni hufiec młodzieńców fachów pokrewnych w wyzywająco eleganckich marynarkach, w kamizelkach nakrapianych jak skóra węża, o fryzurach zwycięzko—lśniących...

„Miła dziewczyna" jest wszędzie, chce widzieć wszystko, gotowa jest cieszyć się byle czem. Przystanęła koło strzelnicy z ustami nieco rozchylonemi, czeka, czy mierzący z floweru strzelec niedzielny trafi w koguta. Jeżeli trafi i ptak zatrzepocze skrzydłami, czuje się uszczęśliwioną na chwilę, jeżeli nie uśmiecha się z drwinek, jakie natychmiast powstają w tłumie... Oddala się posypywana obficie kolorowemi papierkami przez zwolenników jej urody. Przystanęła znów koło siłomierza. Wali się tam młotem w rodzaj kowadła. Po uderzeniu dostatecznie silnem przekręca się naokoło pajac, wieńczący szczyt przyrządu. Właśnie bije młotem młody siłacz, i pajac raz wraz obraca się naokoło osi. Samson jest upojony swą siłą. Rozpiera go duma, prostuje się, wystawia piersi, nalanemi krwią oczyma patrzy w przestrzeń. Koledzy jego mówią:—Ho, ho! On będzie tak kręcił tego pajaca do wieczora. „Miła dziewczyna" usposobiona nader przyjaźnie, zwraca się w towarzystwie przyjaciółki w inne miejsce, gdzie ludzie ciskają kółkiem. Jeżeli nadzieje się ono na wbity pionowo gwóźdź — numer naklejony przy gwoździu wygrywa Właśnie jakaś otyła pani wygrała grubo lakierowany biust Goethego. Chce go sprzedać za pół rubla. Wszyscy się śmieją, ale nikt kupić nie chce. „Cóż mi po tym Goecie(!)?— pyta szczęśliwa w grze osoba: — co ja z nim będę robić? Wolałabym imbryczek". Przedsiębiorca zgadza się na imbryczek, a Goethe wędruje znów na miejsce—w oczekiwaniu, aż go wygra inna osoba. Ale przedtem jasne oczy „miłej dziewczyny" obrzucają go ciekawem wejrzeniem: „Cóż to za człowiek dziwny z tak sumiennie polakierowaną, lśniącą twarzą i długiemi włosami?" Znów ruszyły przyjaciółki i ujrzały na otwartej estradzie zbira z gębą szpetnie malowaną, w ogromnych niepotrzebnych okularach, z garbem sztucznym i w czerwonym ubiorze kata. Co chwila miota w tłum dowcipem niewyszukanym, a ten śmieje się potakująco, mruczy z uciechy. Oto rzuca się na swój garb, a ten strzela jak petarda. Garb znika, na plecach zwisają płaczliwe fałdy. Trefniś zrywa się, zaczyna płakać. Pyta, szlochając, kto z szanownych państwa skradł mu garb „do którego był bardzo przywiązany". Tu i owdzie słychać śmiech. A oto śmieje się już i sam „nieszczęśliwy", śmieje szeroko. od ucha do ucha, rzuca się znów na plecy, wystawia

cienkie nóżki, na które towarzysz ciska mu beczkę. Zaczyna się żonglowanie, beczka tańczy i wiruje coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie pęd jej zbyt hyży i zabawne przebieranie piszczelami w kraciastych spodeńkach wzbudza śmiech ogólny, hałaśliwy.

Ach, Co to za przyjemność! Aż serce mocniej bije i rumieńce ukazały się na twarzy!

Lecz trzeba iść dalej i zobaczyć, jak rycerz nieustraszony z chustą na oczach zjeżdża na rowerze po drucie, na łeb na szyję, do stawu. W owej chwili tak niebezpiecznej muzyka zamilkła ponuro, a kiedy nieustraszony sportsman zawisł w powietrzu, z piersi zebranych tysięcy kobiet wydziera się okrzyk przerażenia — oh! oh! Biedaczki sądzą, że katastrofa jest nieunikniona! Na szczęście udało się wybornie! Śmiałek gramoli się ze stawu, ociekając jak buda dorożkarska na słocie, i dobroczynna łódka odwozi go wraz z rowerem do brzegu. Ciężar spadł z serca tych istot tkliwych i buchnął gwar zadowolenia!

Lecz oto zaczyna kropić deszczyk, i spłoszone roje dziewcząt chronią pod drzewami jasne żakieciki i kapelusze ozdobione różami. „Niechby mi ciotka umarła, byle deszcz nie padał“ — woła z rozbrajającą szczerością „miłe dziewczątko“. Deszcz rzeczywiście ustaje, popłoch był niepotrzebny. Mimo to niektóre pary nie ruszają jeszcze z pod drzew i bawią się rozmową:

— Więc pani nie lubi sztubaków? — pyta młodzieniec w bluzie uczniowskiej i skórzanym pasku.

— Nie, przeciwnie — któżby ich nie lubił? Ale pan Tadeusz jest taki dziwny. Ja lubię wesołych...

— To ja nie mogę liczyć na sympatję pani, bo jestem zawsze smutny.

— Pan smutny? Gdzież tam! — Pan jest bardzo wesoły.

— W towarzystwie pani jestem zawsze smutny, bo pani mnie wzrusza.

— Pana???

Spojrzenie zdziwione, badawcze, jak gdyby ta młoda kobietka chciała zgłębić mózg i intencje młodzieńca w pasku skórzanym.

Tymczasem „miła dziewczynka“ spotkała chłopca, do którego czuje sympatję. Inaczaj, czyżby uśmiech olśniewającej zalotności zdobił jej wargi? Chce się przejechać „na karuzeli“. On wsadza ją na konia i poprawia jej strzemię z taką uroczystą adoracją, z jaką zapewne to czynił ów rycerz prowansalski, na którego pogniewała się kochanka, i gniewała się przez dwa lata, aż wreszcie powiedziała, że da się przeprosić, ale pod warunkiem, że on każe sobie wyrwać paznokieć, że paznokieć ów przyniesie pięćdziesięciu rycerzy, i którzy złożą go u jej stóp. I stało się jak chciała. Pięćdziesięciu rycerzy się znalazło. I poczet był wspaniały. I kochanek szedł w szatach pokutnych za paznokciem ze zwieszoną głową. I zlitowała się piękna pani. I dała się przebłagać. I żyli potem długo jeszcze. I byli bardzo szczęśliwi. (Patrz: Stendhal, „O miłości“).

Karuzela — w tej właśnie formie, jako postać rodzaju żeńskiego—wzrusza mnie niezmiernie! To koło wirujące i unoszące na wierzgających rumakach rozkosznie przechylone kobietki jest nieocenione. Większość podróżnych wierzy święcie, że rzeczywiście gdzieś jadą. Dziewczęta uśmiechają się zalotnie, wstążki powiewają. Nad głowami ich chwieją się lekko latarki kolorowe, a muzyka drze się wrzaskliwie. Rozklekotana muzyka karuzelowa jest okropna. Instrument robi wrażenie podle steranego tenora, o którym najlepszy przyjaciel — dziennikarz nie śmie już napisać, że głos jego „czaruje po dawnemu“. Te skrzypiące, syczące, gwiżdżące i skomlące ryki robią wrażenie siły niesfornej, drwiącej z ładu i harmonji. Trzon, na którym kręci sie karuzela, obraca się wkoło, obciągnięty czarnym aksamitem, zahaftowanym paciorkami żółtemi i białemi. Gdyby zamiast płytkiej gawiedzi siadły na tym przyrządzie osoby „godne szacunku i zaufania“, otrzymałoby się symbol życia społecznego. Jadąca na rozhukanym rumaku bankierowa albo hrabina z trenem, rozrzucająca hojną dłonią (omal nie rzekłem: garścią — za co owe panie przepraszam!) pastylki ślazowe mogłaby uosabiać naszą skrzypiącą głośno dobroczynność, która, bądź co bądź, wierzy niezachwianie, że zmierza do przylądka Dobrej Nadziei. Pan z siwą brodą i herbarzem byłby uosobieniem zdrowej tradycji. Jadąca na zadku rumakowym papuga, wygłaszająca sentencje moralne w ściśle przepisanym porządku, dałaby obraz moralności praktycznej. (Ale w jaki sposób między osoby „cieszące się zaufaniem i szacunkiem“ zakradła się papuga?..). Wyhaftowane na trzonie: wieniec, lutnia, listek figowy, słońce, oko Opatrzności, serce, strzała, kwiatek, drzewko i panna uzmysławiać by mogły zasób tych przedmiotów, od których nie powinien zbaczać poeta, aby nie zejść na manowce i przestać być „narodowym“... No i tak dalej...

Ach, mój Boże! mój Boże! Wieczór zwolna zapada i ogród cały zaślnił światłem! Karuzela wciąż pracuje uczciwie, skrzypi i parska dziką muzyką. Tańczą już nie tylko na drewnianej sali, lecz i pod wielkiemi klonami. Tańczą frenetycznie, opasując się rękami, pląsają radośnie, jak gdyby smutek zapadł się w ziemię, stąpają drobno, przytupują. Kawaler w jaskrawej kamizelce wierci się na pięcie, z rozpłaszczonemi rękami puszcza się w pląs jakby rozpaczliwy, beznadziejny. Inny przygrywa sobie na trąbce dziecinnej, albo objąwszy w pół dziewczynę jak lawina stacza się po pochyłości niby straciwszy rownowagę, z miną „zgłupia frant“, albo podbija w górę „narzeczoną“, która na moment stała się maleńką dzieweczką, fruwa w powietrzu i trzepoce się z radości. Tłum skręca się, wre, przewala, kłębi. Zaroiły się wszystkie uliczki. Lśnią spojrzenia spragnione miłości, w które dziewczęta wkładają nieświadomie całą swą nagle rozjaśnioną duszę. Tysiące rac — spojrzeń strzela do siebie, ręce ocierają się o ręce, czasem ktoś muśnie kwiatem szyję zbyt jędrną i białą. Tłum ten to potwór, który tworzy się sporadycznie i rozpada. Żyje chwilę, godzinę — do zachodu słońca. Umiera przed północą. Radość tego potwora jest gorączkowa. Oddycha tysiącem płuc, lśni tysiącami oczu jak jedno ciało. Odpowiedzialność osobista przygasa. Człowiek się staje mniej wstydliwym, jak w pijaństwie. Młodzieniec rozpoczyna arlekinadę, czując się w obliczu wszystkich i nikogo, podniecając się wzrokiem tysiąca błyszczących oczu, z których każde patrzy i nie widzi, migota przelotnie, fosforyzuje, jakby pyta i szuka. Swita mu idea zabłyśnięcia za pomocą pomysłów cudackich. Dusza staje obok zbiorowego potwora, który należy pozyskać i ujarzmić. Oto dlaczego raz wraz wybucha popęd do błazeństwa. Młodzieniec wtłacza sobie w oko monokl i mówi „Jestem bankier Rawicz.. Która z pań ma do mnie pretensję“. Ze strony męzkiej wszędzie strzelają mniej lub więcej udatne race humoru, podczas gdy kobiety zachowują się oczekująco, powściągliwie i zaledwie raczą się uśmiechać...

Słowem: na zabawie ludzi „gorzej“ ubranych tworzy się to, czego potrzeba, by ludzie licznie zebrani mogli się bawić: *tłum*, gdzie odpowiedzialność osobista każdego maleje do minimum.

Ale otóż i wieczór staje się głębszy. Słońce już dawno zaszło, mroki zaległy odlegle kąty parku i osłoniły pary, szukające ławek ustronnych. Dogasa za parkanem pas zorzy wieczornej. Ogród zaczyna kurzyć, bo nogi szaleją coraz bardziej. Gdziekolwiek jest trochę muzyki, tańczą, tańczą do upadłego, tańczą

nawet przy grzebieniu. Huśtawki stanęły, lecz karuzele dźwięczą, błyskają i wirują, wioząc co raz to nowe zastępy podróżnych. Księżyc wytoczył się nad ścieżki, zasypane kolorowemi papierkami. Ocknęły się żaby w stawie, bezczelne z apoplektycznemi karkami i kumkają zajadle, jakby chcąc przekrzyczeć dźwięki dwuch orkiestr i pogwar tłumu, który skręca się, kłębi i mrowi, aż wreszcie jakby znużony wydłuża rozwartą paszczę i zaczyna wylewać na ulicę podmiejską coraz to nowe drużyny ubawionych należycie ludzi.

Leon Choromański.

HENRYK HEINE.*)

Dajże pokój przypowieściom,
Porzuć zbożne dociekania,
Daj odpowiedź bez ogródek
Na przeklęte te pytania:

Czemu, gdy człek prawy wlecze
Cierpień krzyż i żywot krwawy,
Na rumaku jak zwycięzca
Mknie galopem człek nieprawy?

Gdzież tu wina? Niezupełnie-ż
Rządzi nami Bóg wszechwładnie?
Czy też sobie tak swawoli?
Ach, byłoby to szkaradnie!

Tak pytamy bezustanku,
Próżno sercem czyniąc spowiedź,
Aż zatkają gębę ziemią —
Ale czyż to jest odpowiedź?

Przełożyła R. F.

*) Z dopełnień do cyklu „Lazarus".

„Młode Włochy" przed sześciu wiekami.

(Szkic historyczno-literacki).

(c. d.).

I oto powstaje obecnie samo przez się pytanie, kim mogły być owe ubóstwiane? Miałyż one inne ziemskie imiona, czy też brzmiały one (jak naprz. u Cavalcanti'ego) Giovanna, la Primavera, la Forosetta, la Pastorella, la Pinella? Wśród tylu kochanek, które opiewał Guido Cavalcanti, nie można zauważyć bodaj jednej bardziej wyróżnianej, takiej, którąby bardziej nad inne wyniósł poeta jako „panią uanieloną." Po przeczytaniu utworów Guida ma się wrażenie, i wrażenie to po sprawdzeniu go baczniejszem ugruntowuje się aż do pewności, że poeta bynajmniej nie apostrofuje do jednej kobiety, nie Giovannę adoruje, nie do Pastorelli antyfonuje strzeliście, lecz modli się, spowiada się z miłości do ideału ukształtowanego ze wszystkich swych ukochań, ideału kobiety złożonej ze wszystkich doskonałości kobiecych.

Nie jest to zarazem uczucie wykoncypowane, logicznie wymyślone, ma ono i pewną domieszkę realności w sobie, coś niby kroplę eliksiru w puharze czystej wody. Jest w tem i coś z Giovanny z Tuluzy kontemplowanej w leśnej świątyni Dorad i coś z Pastorelli-pastuszki „za świeżym gąszczem", są w tym ideale zebrane wszystkie pamiątki, wszystkie pożądania i uściski ścięte w jeden kryształ, w ideał właśnie. Co ustawicznie rzuca się w całym procesie miłowania w oczy, co w tem jest najbardziej ludzkiego i jednocześnie platonicznego, to miłość zawsze wchodząca do serca przez oczy, to piękno materjalne oświetlone płomieniem ducha.

Dla tego też Guido Orlandi pyta się z niekojem, czy miłość ma swe źródło w oczach, czy też jest żądzą serca:

W oczach jest ona, czy wolą serdeczną?..

Oczy, odpowiada Jacopo di Cavalcanti, są wrotami serca:

Przez nie Pani ma wraz z miłością
Przeszły, by zstąpić do głębiny ducha,..

Jacopo zaś di Lentino mówi:

Było: gdym patrzał na nią, zabrała serce moje...

A Dino Frescobaldi śpiewa o dziewicy wiedzionej przez miłość:

Ta dzieweczka, a miłość tuż za nią.
Wchodzą w serce przez oczy, które spojrzą na nią...

Jednak wszystko to nie jest jeszcze miłością duchową, miłość to cielesna, lecz tak wyidealizowana, że kobieta staje się tylko postacią marzenia. Jednak już tu w półcieniu świetlić się zaczyna płaszcz „donny beaty", czeka ona tylko jeszcze na Dantego, by rozpłomienić się w „Beatryczę."

Przerzucając liryki Cino de Pistoji, przybliżamy się coraz bardziej do typu kobiecego, który Alighieri prawem genjuszu za swój podał ludzkości.

Przedstawia bo Cino najwięcej ze wszystkich twórców „Młodych Włoch" XIII w. podobieństwa do Dantego i w gienezie swego ideału, tudzież interpretacji. Lubieżny w życiu prywatnem, zmieniając ustawicznie kochanki, ma jednak przez wszystkie swe utwory niby nić złotą, ma jedno imię—ideał podobnie jak Dante. Ideał Cina to „Selvaggia." Wiarołomny w swej donżuanerji (czemu zlekka czasem dawał ujście w utworach), został Cino wierny swemu ideałowi kobiety. Zmęczony miłostkami, wraca wciąż do swego pojęcia o miłości i, by w niem oddać całe swe natchnienie, jest wiernym, czystym i surowym. Ideał Cino znaczy już nam ideał Guida, a potem Dantego.

Weźmy dla przykładu wspaniałą kanconę de Pistoji: „L'alta speranza..." — jest ona jakby skrótem, jakby szkicem do „Nowego Życia" Alighieri'ego, jest w niej analiza formowania się uczucia miłosnego, jest użycie wizji,— motywu, którym tak często i wspaniale posługiwał się Dante, jest wizerunek „Jej" kreślony z wdziękiem i przepojony całem pięknem artyzmu, słowem, istne pendant do „Beatryczy" w całej piękności rozmarzenia i ekstazy. „Ona" nie ma w sobie nic prawie ziemskiego, anioł to boży:

Ta piękna dziewica aniołem jest bożym,
Aniołem w każdym czynie...

Pochodzenie jej jest nadziemskie:

I nie jest ona córą tej ziemi,
Bóg ją nam z nieba zesłał przeczystą...

Anieli sami czują się uszczęśliwieni, podziwiając tylko jej boski majestat; o sobie zaś mówi Cino:

A ja, twór z prochu tej ziemi,
Gdybym mógł tylko patrzeć na postać
Tej, co sercem i duszą tak owładła memi,
Szczęśliwy wiecznie mógłbym pozostać. *)

*) Podajemy przekład dosłowny, zachowując pierwotną formę oryginału.

I znajduje poeta w niej wciąż nowe zalety. Niepodobieństwem jest wyliczyć wszystkie jej wdzięki. Przy samem zbliżeniu się do niej, przy pierwszem na nią spojrzeniu,

Odrzuć precz z serca wszelką myśl ciemną...

I ukazuje „Ją” nam poeta coraz bardziej „uanielloną” i miłość jego wznosi się w coraz to wyższe bezkresy mistyczne, ekstaza mieszać się poczyna z przestrachem:

Miłość jest rzeczą tak straszną...
Taką mnie miłość obawą przejmuje...
Takim mnie wielkim miłość zdjęła strachem.
Że odtąd nigdy, zda się, go nie zbędę...

Z „Jej” postaci jak z serafa
... taki blask tryska promienny,
Ze oczom moim wszelka barwa jest odjęta...

I Cino podobnie jak towarzysze nie śmie spojrzeć „Jej” w twarz. tak piękność jej przewyższa wszelkie poczucie harmonji ludzkiej, tak strasznem jest jej spojrzenie:

Blasku postaci twej dusza się lęka,
W dół czoło chylę, wzrok po ziemi ścielę,
Pani! z obawy drżę... grozy zbyt wiele
Przywala mnie,—o niewysłowiona męka!
— — — — — — — — — — —
Kiedy przechodzisz, świat z zachwytu klęka;
Twa piękność władnie w mej duszy i ciele,—
Ledwie się spojrzeć ku tobie ośmielę,
Konają siły w sercu, które pęka!... *)

Jeżeli kobieta staje się takiem bóstwem, już przez to prośba miłosna przetapia się w adorację, erotyk w parafrazę „In manus...”:

O słodka pani moja! w twoje ręce
Oddaję ducha mego, umierając.....
... Pani szlachetna! póki jeszcze żywię,
Swego spojrzenia nie odmów mi, błagam...

Wszystkie powyższe cytaty pozwolą obecnie łatwo zrozumieć punkt wyjścia Dantego.

Na takiem podłożu wzwyżył się szczyt „Młodych Włoch” XIII w.: na tle rdzennego zagadnienia ducha, jakim żył ówczesny człowiek, lecz zagadnienie to i zobrazowanie go, dopiero w genjalnej interpretacji twórcy „Boskiej Komedji” wzrosło w taki symbol, który już przekazać można było całej przyszłości. „Beatrycza!” to krzyk tęsknoty całego średniowiecza ku nowo odkrywającym się, nawpół zamglonym jeszcze lądom. Dantejska „Beatrycza!”

Bo nie w tem leży ogrom, istota genjuszu Dantego i znaczenie tego twórcy dla potomności, że potrafił on siłą nadludzkiego wizjonerstwa (acz tak realnego w ekspresji) „piekieł przeszedłszy wierzeje, błogosławionych widzieć nadzieję“, nie w objęciu mózgiem wszystkich dziedzin wiedzy ówczesnej od astronomji po teologję, nie w konstruowaniu nadzwyczajnych konjunktur politycznych o wyrastających ponad poziom wieku pojęciach o kościele i państwie,—lecz w owem niedostępnem do owych czasów wtopieniu się ducha w bezmiary miłości, w dojściu prowadzonem przez ukochanie do istotnej zagadki bytu, do spojrzenia w twarz Bogu!

Aż „tam“ zaprowadziła poetę „Beatrycza“. „Beatrycza“, ten przewodni temat wielkiej symfonji, obejmującej życie i byt pozagrobowy, „Beatrycza“, to słowo magiczne, które wprowadziło poetyzującego młodzieniaszka w „Nowe Życie“, było mu „Biesiadą“ duchową, było jakby „Pieśnią nad pieśniami“ dla umęczonego znojem życia, było mu wreszcie sił zolbrzymieniem dla rozwinięcia skrzydeł w beskresy „Boskiej komedji“.

Wiemy, czem była „Selvaggia“ dla Cino de Pistoji, lecz o ile Dante przerasta Cino, o tyle „Beatrycza“ musi mieć więcej elementów w sobie niż ideał najbliższego towarzysza.

Co znaczy „Beatrycza“?

Brzmi jakby imieniem kobiecem, ma jednak w sobie coś z cech błogosławiącej łaski, beatrice—uszczęśliwiająca, beata —święta jakby.

Posiąść treść tego słowa, to znaczy odnaleść klucz do duszy Dantego.

I mówi poprzez szeregi wieków uczony dantolog, że „Beatrycza“ to osoba ku której zapałał pierwszą miłością młodzieńczą ośmnastoletni Alighieri, to córka obywatela Florencji, sąsiada rodziców Dantego, Folco Portinari'ego, późniejsza żona kawalera Simona dei Bardi; i przeczy sobie następnie w innych przedstawicielach uczony badacz dantejski i orzeka, że „Beatrycza“ to fikcja, to wymysł, koncepcja poetycka, to symbol państwa lub kościoła, lub zgoła ideji i znów poprawia się uczony i twierdzi, że „Beatrycza“ to kobieta jakaś, której imię właściwe inaczej brzmiało, że to istota realna, ukochana przez poetę, tak wymyślnie przezeń nazwana a potem ku godności nadludzkiej, do alegorji, do wcielenia wreszcie symbolu wzniesiona.

Lecz bezpośrednio nasuwa się jedna uwaga: utworów Dantego dotyczących formalnie a bezpośrednio „Beatryczy“ jest dwa: „Nowe Życie“ i „Boska Komedja“ („Kaucjonarz“ zaś o tyle, o ile zamieszczone są w nim liryki z „Nowego Życia“). Wiadomem jest jednak, nie ściśle historycznie wprawdzie, nie z dokumentów, lecz z samych utworów poety, i ze słów niektórych najstarszych biografów Dantego, że Alighieri w swem życiu kochał kilka kobiet i po za tem był żonaty.

(dok. nast.). *Kazimierz Wroczyński.*

KRONIKA.

— Aresztowanie w intendenturze. W dn. 9 b. m. z polecenia sen. Neudhardta z pośród 47 urzędników intendentury, przeciw którym wszczęto dochodzenia sądowe—aresztowano 20. Aresztowanych osadzono w więzieniu.

— Kary prasowe. Redakcja „Muchy” skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 50 rb. grzywny.

Redaktor „Kurjera Porannego” skazany został na zapłacenie 100 rb. kary za artykuł wstępny w № 178 p. n. „Polskie na Moskwie gody”.

— Odmowa. Warszawski gubernjalny komitet do stowarzyszeń i związków odmówił legalizacji ustawy „Warszawskiego Stowarzyszenia Zwolenników Kremacji”, powołując się na §§ 702 — 710 przepisów ustawy lekarskiej, które nakazują grzebanie zmarłych w ziemi. Organizatorowie stowarzyszenia decyzję tę zaskarżyli do Senatu.

— W Warszawie strejkują szewcy mechaniczni. Czeladnicy żądają podwyżki po 2 kop. od pary kamaszy zwyczajnych i po 4 kop. od kamaszy „wygiętych“. Obecnie fabrykanci płacą od 6 do 19 kop. za parę, zależnie od rozmiarów obuwia.

— Wikt aresztantów. Oberpolicmajster warszawski polecił komisarzom wydawać po 10 kop. dziennie na życie osobom aresztowanym przez cyrkuł na czas dłuższy, niż 12 godzin. Pieniądze te winny byc wypłacane z funduszów cyrkułowych, pokwitowania zaś, odbierane od aresztantów, powinny być przesyłane w końcu każdego miesiąca do magistratu w celu zwrotu wyłożonych pieniędzy.

Wyjątkowo zniżona cena następujących wydawnictw naukowych

„SPOŁECZEŃSTWA"

U. Sinclair. „Trzęsawisko". Wydanie kompletne w dwuch tomach, z portretem autora. Rb. 1.
Ludwik Kulczycki. Narodowa Demokracja kop. 10.
L. Kulczycki. Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji kop. 25.
K. Zalewski. Kwestja rolna w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji Kop. 10.
Dr. A. Paneckock. W państwie przeszłości. Kop. 5.
F. Lassale. Program robotniczy. Kop. 5.
St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Kop 5.
Paulsen. Kant i jego nauka. Z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu" i „Krytyki Praktycznego Rozumu" uzupełnił J. Wł. Dawid. Rb. 1,20.
J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologji doświadczalnej. Kop. 50.
J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologji jako nauki doświadczalnej. Kop. 30.
Ribot. O wyobraźni twórczej. Kop. 20.
H. Höffding. Zasady etyki, Kop. 10.
J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Kop. 10.
O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Opracował M. Aleksandrowicz. Kop. 25.
J. Wł. Dawid. Mózg i dusza. Kop. 25.
W. Lexis. Podstawy Kultury Współczesnej. Kop. 25.
C. Snyder. Obraz świata podług najnowszych badań przyrodniczych. Rb. 1.

Wysyłać zamówienia do administracji „SPOŁECZEŃSTWA".
Warszawa, ulica Wielka 1-a.

PISMA

Wacława Nałkowskiego.

Społeczne: **Jednostka i Ogół,** szkice i krytyki psycho-społeczne.
Sienkiewiczjana.
Z powodu politycznych wystąpień p. Sienkiewicza.
Bojownik. Fantazja
Gieograficzne: **Zarys gieograji Rozumowej** (gieologji).
Gieografja szkolna cz I. Gieografja ogólna. cz. II Australja, Ameryka, Afryka, Azja cz. III Europa.
Gieografja Malownicza t. I Australja II Ameryka Południowa. III Ameryka Północna. IV Afryka (w druku). **V Azja** (w druku). **VI Europa** (w przygotowaniu).
Zarys Metodyki Gieografji.
Ziemia i człowiek.
Szkice i studja gieograficzne.
Gieografja Poglądowa.
Gieografja Fizyczna.
Gieograficzny rzut oka na dawną Polskę.
Uwagi krytyczne do mapy poglądowej Królestwa Polskiego Jadwigi Wojcickiej.
Jezioro Lepelskie w systemacie Berezyńskim.
Rozwój ziemi (Poradnik dla samouków).
Historja Ogólnej nauki o ziemi (Dzieje Myśli).
Ogólna nauka o ziemi (Encyklopedja ludowa w druku).
Mała Gieografja Fizyczna.
Wschodnia granica Europy.
Afganistan.
O gieograficznych błędach, na których opierają się historjozoficzne poglądy profesora Duchińskiego.

Książki powyższe są do nabycia w Administracji „SPOŁECZEŃSTWA" ul. Wielka № 1-a, telef. 97-83.

Redaktor i wydawca **Dr. J. M. Muszkowski.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.